Nr. 11. We Lwowie dnia 14. marca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



JAMES SULLY.

Umysłowość ludzka. Z angielskiego tłóm. J. K. Potocki. Warszawa 1987.

Imię Sully'ego znanem jest w całym świecie cywilizowanym. Nie wynika stąd przecież, ażeby miało być znanem i u nas. Gdyby on był autorem modnych powieści i dramatów, a przynajmniej poetą, powszechnie uznanym, niewiadomość o nim byłaby może dla nas upokarzającą, ale filozof, który napisał psychologję w dwóch ogromnych tomach, wymagających długiej i żmudnej pracy, co nas może obchodzić?!... Przecież i bez psychologji wiemy, że mamy duszę, obdarzoną rozumem, który na to jest nam dany, ażebyśmy jak najzręczniej umieli wyzyskiwać nadarzające się okoliczności dla zapewnienia sobie karjery, że posiadamy uczucia, które nam nakazują szukać przyjemności, a unikać przykrości, że dana nam jest wola, ażebyśmy mogli stłumić w sobie wszelkie skłonności i popędy, mogące stanąć na przeszkodzie w uzyskaniu wszechpotężnej protekcji. Coś więcej wiedzieć nad to, na nic się nam nie przyda. Niech więc sobie psychologja Sully'ego spoczywa zdrowa na półkach księgarskich i czeka cierpliwie, aż znajdzie się jakiś dziwak, który zechce wyłożyć na nią pieniądze i czas, my ich nie mamy do stracenia. Będąc członkami kół literackich, kasyn końskich i niekońskich, musimy pamiętać, że mamy coś ważniejszego do spełnienia, co wymaga i czasu i pieniędzy.

Że pomiędzy nami znajdują się tacy dziwacy, którzy, nie mając nic lepszego do roboty, zajmują się psychologją i temi podobnemi rzeczami, najmniejszej wartości praktycznej nie mającemi — jestem tego pewny i dla tego, mając ich jednych na względzie, zamieszczam poniżej o dziele Sully'ego krótkie sprawozdanie, które może zachęcić ich do nabycia go i przestudjowania.

Sully, jako prawy syn Albionu, pozostaje wiernym tradycji angielskiej psychologji. To znaczy, że trzyma się w wykładzie psychologji jak najściślej gruntu doświadczalnego, unikając wszelkich dyskusji metafizycznych. Że jest to jedyne stanowisko, które zapewnia psychologji postęp i czyni z niej naukę pozytywną, opierającą swe wnioski na faktach sprawdzonych, zaczynają o tem przekonywać się powoli i Niemcy, którym nie łatwo pozbyć się swych skłonności do metafizycznych zakusów. Niezawodnie, że sam przedmiot psychologji, jakim są zjawiska duchowe i ich stosunek do zjawisk fizycznych, nastręcza pytania, które ze stanowiska doświadczalnego nie dają się rozwiązać, o których jednakże musi wyrobić sobie dokładne pojęcie ten, co się zabiera do pisania o zagadnieniach psychologicznych. Inaczej bowiem nie będzie wiedział, z jakiego stanowiska ma na nie się zapatrywać i za pomocą jakiej metody dążyć do ich rozstrzygnięcia. Ponieważ na te pytania tylko metafizyka dostarcza odpowiedzi, każdy przeto psycholog musi być w gruncie rzeczy metafizykiem; nie owym me-

tafizykiem dawnego pokroju, który, nie troszcząc się o prawdziwość przyjętego z góry założenia, pilnował tylko tego, ażeby jego wywody dedukcyjne odpowiadały ściśle wymaganiom scholastycznej logiki, ale metafizykiem, który przedewszystkiem stara się o zapewnienie dla swych wywodów spekulacyjnych podstawy trwałej i niebudzącej najmniejszego powątpiewania. Tego rodzaju metafizykiem jest właśnie nasz autor. O jego zapatrywaniach metafizycznych świadczy stanowisko, z jakiego zapatruje się on na objawy duchowego życia i ich warunki, oraz metoda, zapomocą której usiłuje zbadać te objawy we wszystkich ich szczegółach i wykryć prawa, jakim one podlegają. Zresztą z temi zapatrywaniami on się nie kryje, lecz wypowiada je w dodatku, załączonym do drugiego tomu. Jakoż, korzystając z niego, zaczynam swe sprawozdanie o jego dziele od podania w ogólnych zarysach treści owego dodatku, mając przekonanie, że w ten sposób najlepiej da się poznać czytelnikowi, co może znaleźć w dziele autora i czego szukać w niem nie powinien.

Pytaniem, które przedewszystkiem nastręcza się każdemu, kto bierze do rąk psychologję nieznanego sobie autora, jest: co autor rozumie przez duszę i jak tłómaczy jej stosunek do ciała i wogóle do świata materjalnego? Na to pytanie dzieje psychologji dają różne odpowiedzi, które można sprowadzić do trzech zasadniczych. Pierwszej z nich dostarcza analizm, który uważa duszę i ciało za dwie różne i nic wspólnego z sobą nie mające substancje i dla tego, chociaż połączone z sobą, ale na siebie nie działające i objawiające się każda na swój sposób bez najmniejszego wpływu na siebie. Odpowiedź ta pozostawia nie rozwikłaną zagadkę, jaką nastręczają nam fakty codziennej obserwacji, świadczące, że jak z jednej strony zmiany cielesne pociągają za sobą zmiany duchowe, tak z drugiej — te ostatnie nie tylko stają się przyczyną pewnych zmian cielesnych, nad któremi żadnej nie mamy władzy, ale i zmian takich, które naszej woli podlegają. Ażeby napotykane przy rozwikłaniu tej zagadki trudności usunąć, materjalizm przyjmuje jedną tylko substancję, materję. Co się zaś tyczy duszy, uważa ją za wypadkową czynności fizjologicznych, zachodzących w mózgu i każe w niej widzić prosty tylko ruch cząsteczkowy mózgowej materji. W tym samym celu spirytualizm zaprzecza bytu materji i widzi w niej pewien tylko objaw duchowej substancji. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór powyższych zapatrywań, poprzestaję na zaznaczeniu, że wszystkie one podlegają jednemu zarzutowi, który im zadaje cios śmiertelny — sprzeciwiają się zasadniczym warunkom poznania ludzkiego.

Poznanie nasze jest względne i o istocie rzeczy nic wiedzieć nie możemy. Znamy tylko zjawiska i o nich tylko z mniejszą lub większą pewnością coś twierdzić możemy. Czy w podstawie zjawisk duchowych i cielesnych leżą dwie różne substancje, czy tylko jedna, na to żadnej odpowiedzi dać nam nie może ani doświadczenie, ani metafizyka przy całej subtelności swej djalektyki. Zresztą nic nam na tem nie zależy. Czy tak, czy inaczej rzecz się ma, musimy zgodzić się, że ciało i dusza w konkretnych swych objawach stanowią jedność, wprawdzie zróżniczkowaną w sobie, ale w ten sposób, że w niej wszystkie szczegóły wzajemnie się warunkują i zależą od siebie. Nasze pojęcia o duszy i ciele są abstrakcjami i jak każda abstrakcja, występują one w takiem odgraniczeniu od siebie, że nic wspólnego między niemi dopatrzeć się niepodobna. Tymczasem w rzeczywistości z takiemi rozgraniczeniami nie spotykamy się. W niej dusza i ciało przedstawiają całość życiową, jak najściślej skoordynowaną. Stopniowi cielesnego rozwoju odpowiadają jak najdokładniej zjawiska duchowe. Jakoż, ile jest oddzielnych organizmów zwierzęcych, tyleż jest i różnych dusz. Ściśle biorąc, nie znamy ani ciała, ani duszy wogóle, znamy tylko ciała i dusze, jak one się objawiają w pojedyńczych istotach zwierzęcych. Nasze pojęcia o duszy i ciele są tylko szematami, których treść zmienia się w miarę, jak się rozszerza zakres naszego doświadczenia.

Ze stanowiska analitycznego ciało i dusza są pojmowane, jako dwie grupy zjawisk wręcz sobie przeciwnych i wzajemnie się wykluczających. Cielesne zjawiska są rozciągłe i odbywające ruch w przestrzeni; duchowe — są nierozciągłe i objawiające się w czasie. Nie jest to atoli określenie wyczerpujące. Znamienną cechą zjawisk duchowych jest świadomość. Czemże jest ta świadomość i jaki jest jej początek? Na pierwsze pytanie odpowiedzi słownej dać niepodobna. Jest ona zjawiskiem prostem i do prostszego sprowadzić się nie daje. Zresztą każdy ją zna w sobie dzięki bezpośredniemu spostrzeżeniu. Co do drugiego pytania, to trzymając się wyłącznie doświadczenia, które nas uczy, że z zacząstkowemi objawami świadomości spotykamy się dopiero w zwierzętach, posiadających układ nerwowy, chociażby najmniej rozwinięty, musimy odpowiedzieć, że początek swój zawdzięcza świadomość powszechnemu rozwojowi, dokładniejszemu przystosowaniu się organizmów życiowych do otoczenia, w końcu walce o byt, w której świadomość okazała się, jako najdzielniejszy czynnik, zapewniający zwycięstwo. Jakie zaś warunki szczególne umożliwiły pojawienie się świadomości, o tem w obecnej chwili nic powiedzieć nie możemy, chyba że zechcemy zabawić się w metafizyczne wywody, które, ściśle rzeczy biorąc, trudności nie rozstrzygają, tylko je odsuwają w nieskończoność — do początków wszystkiego istnienia.

Będąc objawem przyrodniczego rozwoju, nie jest świadomość czemś, zawieszonem w powietrzu, lecz jest zjawiskiem *sui generis* uwarunko-

wanem jak najściślej przez budowę układu nerwowego, a w pierwszym rzędzie przez czynności fizjologiczne, odbywające się w korze mózgowej. Z tem wszystkiem nie jest ona zjawiskiem dodatkowem, żadnego wpływu nie wywierającem na układ nerwowy, słowem, *apifenomenem*, który wobec automatyzmu cielesnego pozostaje nieczynnym świadkiem wszystkiego, co on wykonywa. Organizm zwierzęcy nie jest automatem, gdyż podlega rozwojowi, coraz dokładniej przystosowuje się do otoczenia. Otóż, to przystosowywanie się dokonywa się w nim dzięki świadomości, która drogą wyboru ureguluje doświadczenie życiowe, nadając mu kierunek, odpowiedni warunkom położenia. W każdym razie świadomość nie jest bytem, ale czynnością, która w czasie odbywa się i swe upowodowanie ma we wrażeniach zmysłowych zewnętrznych i wewnętrznych. Świadomość staje się świadomością siebie w miarę, jak się doświadczenie nasze coraz bardziej zróżniczkowuje, a zczasem skoordynowuje,ześrodkowuje. To skoordynowanie doświadczenia w obecnej dobie naszego rozwoju nie jest dokładnem, jak o tem świadczą różne zaburzenia chwilowe i stałe naszej osobowości. Bądź co bądź, jeżeli świadomość sama przez się jest zjawiskiem pierwotnem, to świadomość siebie — pochodnem, wtórnem. Jest ona wytworem doświadczenia, wypadkową naszych uczuć, chęci i wyobrażeń, sprowadzonych do zgodności z sobą. W jej rozwoju można odróżnić trzy okresy: świadomości roślinnej, opierającej się na czuciach organicznych. Taką jest świadomość niemowlęcia. Świadomości zwierzęcej, mającej swą podstawę w instynktach organizmu cielesnego dojrzałego i świadomości ludzkiej w ścisłem tego wyrazu znaczenia, mającej swe źródło w warunkach życia społecznego. Człowiek bowiem jest przedewszystkiem istotą społeczną, poza społeczeństwem nie jest on niczem więcej, jak zwierzęciem.

(Dok. nast.). *Władysław Kozłowski* (Lwów)

MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.

OBRAZEK.

Zadymka!

Nad ziemią, pod niebem, na polach i rozłogach, na drzewach i dachach, gdzie okiem sięgniesz, gdzie się odwrócisz, widzisz tylko szalone pląsy zamieci śnieżystej, pyłków drobnych skłębionych w chmury, które drwić sobie zdają z wszelkiej siły, wszelkiej potęgi i wszelkich obliczeń myśli ludzkiej.

Szalonej też odwagi musisz być człowiekiem, jeśli się zdecydujesz w czas taki ruszyć w drogę; chyba, że szukasz śmierci, tej cichej, spokojnej, która czyha wtedy na każdej ścieżynce, delikatnie zsuwając na twe powieki sen bezbolesny, do snu wiecznego przeprowadzający.

A przecież odwagę taką, a nie pragnienie śmierci posiadał podróżny, jadący przy końcu stycznia 189* roku drogą, prowadzącą z Łomży do Pułtuska, w małych saniach kurpiowskich, owinięty futrem, które co chwila rozkrywał, jakby mu chłód zimny jeszcze był za gorący.

Wyjechał z Ostrołęki za dnia, na szosie wiorstowe słupy znaczyły drogę, zresztą i zadymka spotkała go już w jej połowie, przezorność nakazywała przy jakiej przydrożnej natrzymać się karczmie, ale snadź podróżnemu pilno było dalej, bo Kurpiowi obiecaną zapłatę podwoił i bezustannie nalegał, aby jechał i jechał.

Sunęły tedy saneczki żwawo, furman co chwila bat stawiał w końcu wasążka, rękami o plecy bił, rozgrzewając się w ten sposób, a podróżny pytał:

— Daleko jeszcze?

— Nie daleko, paniczu — brzmiała jednostajna odpowiedź.

— A nie zabłądziliśmy?

— Szosę zasypało, ale konie czują drogę, trafią same.

— W Sieleniu dostanę przecież koni świeżych?

— Nie dziś, paniczu! nie dziś! pod noc.

— Ja chcę dzisiaj.

— Na boczną drogę? do czego?

— Do Zielonej!

— Znam, znam, na taką porę śmierć pewnikiem w szczyrnem polu.

— Muszę jechać! — z pewnym uporem gorączkowym wołał podróżny.

Kurp', z natury swej, jak wszyscy najbliżsi współmieszkańcy nie zamiłowany w próżnej paplaninie, mruknął tylko coś pod nosem, kilka razy batem w powietrzu nad końmi zakręcił, cmoknął i jechał dalej.

Na dworze nie było już nic widać, gdy nagle konie stanęły, a podróżny ujrzał bladawe światełko, przeglądające przez tumany par śniegowych.

Wzrok natężył i nareszcie tuż przy saniach spostrzegł murowany domek stacji pocztowej.

Kurp' dobrze powiedział, jego konie znały tę drogę i, wiedzione instynktem, trafiły do celu podróży.

— To Sielań! — zawołał, wstając z kozła.

Podróżny zerwał się ze swego miejsca, z młodzieńczą werwą wyskoczył na ziemię i gorączkowo zakołatał do drzwi stacyjnych.

Otworzono mu je niebawem.

— Proszę o ekstrapocztę do Zielonej — wołał już we drzwiach głosem gorączkowym, urywanym, do pocztyljona, który mu je otworzył.

— Pan puńdzie do pana nacelnika.

— A gdzie naczelnik?

— W kancelarji.

Tu otworzyły się przed nim drzwi drugie, prowadzące z sieni na lewo.

Nie mówiąc nawet zwykłego powitania, podróżny po raz drugi powtórzył żądanie do urzędnika, siedzącego w kancelarji nad jakąś księgą rachunkową.

— Nie ma ekstrapoczty na taki psi czas — zabrzmiała odpowiedź cicha, ale stanowcza.

— Jakto niema? przecież zajechałem na pocztę, a nie do handlu szuwaksem, płacę, więc mam prawo domagać się koni.

— Konie są, ale ich na zatracenie dawać nie myślę, zwłaszcza na drogę boczną, z której ani ludzie, ani one żywe i całe dzisiajby nie wyszły. Skoro zadymka ustanie, rzecz inna.

— Ale ja nie chcę czekać! — zawołał opryskliwie podróżny.

— Nic na to nie poradzę!

— Zapłacę, ile pan zechcesz!

— Nie mam ceny na życie człowieka.

— Ostatnie słowa wypowiedziane były w tonie nie tylko stanowczym, ale i pewnego wyrzutu, który odczuł przybyły. Rzucił się mimo to niespokojnie i zawołał:

— Cóż więc mam czynić?

— Racz pan odpocząć, zadymka minie, a wtedy....

Przybyły nie miał ochoty do dyskusji, zrzucił więc futro z ramion na kanapkę, stojącą w kancelarji, a sam usiadł na fotelu, znajdującym się tuż naprzeciwko biurka urzędnika.

Teraz można mu się było przyjrzeć dokładnie.

Z twarzy wyglądał na lat czterdzieści parę. Włosy miał już szpakowate nieco, ruchy jednak i żywe oczy czarne zdradzały w nim człowieka pełnego energji i siły.

Ubrany był w długie buty, krótki barani kożuszek, węgierskim krojem uszyty, co przy czuprynie przystrzyżonej krótko i wąsach zawiesistych robiło mu bardzo do twarzy.

Wogóle z wyglądu zewnętrznego była to postać, zatrzymująca na sobie koniecznie uwagę dłuższą.

Poczhalter też zaczął się przybyłemu z pod oka przyglądać, lubo zdawało się, że pilnie wczytany jest w księgę, przed nim leżącą.

Podróżny tymczasem wsparł głowę na dłoni, a raczej w niej twarz ukrył i o bożym świecie zdawał się zapominać.

— Pan dobrodziej z daleka? — ozwał się nareszcie poczhalter, zakłopotany nadto długiem milczeniem przybyłego.

Podróżny głowę podniósł, uśmiechnął się, jakby rad ze słów zasłyszanych i odparł:

— O zdaleka, panie, ztąd mil paręset!

— Paręset! proszę?...

— Tak, panie — wzdychając mówił dalej podróżny, ale wracam na swoje śmiecie, dwadzieścia lat temu je opuściwszy. Pilno mi zobaczyć tych wszystkich i to wszystko, co zostawiłem, wyjeżdżając ztąd młodzieńcem.

— Hm, pan dobrodziej wspomniał o Zielonej, pan dobrodziej tam jedzie?

— Tak, panie! Pan znasz Zielonę, pan znasz Tynieckich?

— Jakżebym ich znać nie miał; ze starszym Bronisławem chodziłem do szkół.

Przybyły podniósł do góry głowę i w twarz poczhaltera się pilnie wpatrzył.

W tej chwili i urzędnik pocztowy oczy na niego zwrócił i tak mierzyli się oczyma długo, snadź odszukując we wspomnieniach rysów ludzi młodych, które im tam pozostały i nagle gość się zerwał, ramiona otworzył i krzyknął:

— Antoś!

— Bronisław! — szepnął gospodarz, ale w rozwarte ramiona nie wpadł, tylko usiadł jakby bezsilny na stołek, z którego poprzednio się podniósł i szepnął:

— Patrzaj... to ty?...

Ale przybyłego to dziwne zachowanie się kolegi nie stropiło, rzucił mu się na szyję, całował policzki, usta, oczy — pieścił prawie rozrzewniony, a z tych pieszczot wyglądała dusza poczciwa, serdeczna, gorąca, do porywów wielkich zdolna.

— Tyżeś to, bracie, ty? ten Antoś poczciwy, zdolny, którego wszyscy »genjalnym« nazywali Antkiem, przepowiadali przyszłość wielką, tu, na tej stacji pocztowej, dostarczający koni podróżnym?!

— Tak, to ja — cicho mruknął, pan poczhalter.

— Dlaczego? co? jak? — indagował dalej przybyły.

— Dlaczego? co? jak? — odparł pytany, — dobry jesteś, gdzieżeś ty bywał?... coś robił, że się temu dziwisz...

— Gdziem ja nie bywał? zapytaj, opłynąłem świat cały prawie dokoła, studjowałem wszystko, naukę, ludzi, życie, aby doświadczenie do kraju przywieźć i do pracy się wziąć.

— Dobryś!.. a pieniędzy masz z sobą dużo?

— Ho, ho, mój kochany, wyjechałem ztąd prawie bez grosza, a tylko z energją i wolą dobrą, rękami silnemi, a to wszystko mi wystarczyło; dlaczegóż tutaj nie miałoby mi wystarczyć. Zresztą, nie wziąłem nic ze spadku po ojcu, należy mi się jeszcze sporo, gdy odbiorę, będzie czem robotę jakąś rozpocząć.

Poczhalter nie rzekł ani słowa na to objaśnienie pełne wiary w siebie i w rzetelność ludzką, pokiwał tylko głową i więcej do siebie, niż do kolegi, szepnął:

— Dwadzieścia lat więc nie byłeś tutaj?

— Z okładem — dorzucił podróżny.

— Ojciec żył jeszcze, kiedyś wyjeżdżał?

Na wspomnienie ojca Tynieckiemu oczy łzą zaszły; ożywiony przed chwilą, nagle posmutniał i także głowę ku ziemi schylił i dopiero po długiej pauzie dodał:

— Ach, żył i tak dzielnie wyglądał, że kiedy wieść o jego śmierci dobiegła mnie w Chicago, uwierzyć temu nie mogłem, zdawała mi się ona nieprawdopodobieństwem, niemożliwością.

— Niema nieprawdopodobieństw na świecie — wtrącił sentencjonalnie pan poczhalter.

— Są, są — zaprotestował przybyły, potrząsając z pewnym uporem głową.

— Twierdzisz że są, to i dobrze!

— No, mój kochany, nieprawdopodobieństwo jest to naprzykład, że ja zmienić się mogę kiedykolwiek, czem byłem — jestem.

— Czyż pozostaniesz?

— Zapewniam cię.

— Toś szczęśliwy, kiedy w to wierzysz?

— A ty nie wierzysz?...

Poczhalter podniósł szybko głowę do góry, w oczach zamigotało mu coś, niby pioruny gniewu, wargi się poruszyły, jakby chciały mówić, a policzki zabarwił rumieniec. Ta zmiana w zawiędłej jego twarzy trwała jednak zaledwie przez parę sekund i równie szybko zniknęła, jak pojawiła się na niej.

— At! — mruknął machając ręką w powietrzu. Miało to znaczyć: nie warto o tem mówić.

Tyniecki tymczasem, uszczęśliwiony ze spotkania dawnego kolegi, zarzucał go pytaniami o ludzi i stosunki, z którymi wiązała ich przeszłość.

Odpowiedzi, jakie otrzymywał były krótkie, zwięzłe, suche, tak suche, że w końcu charakter ich musiał zwrócić na siebie uwagę przybyłego.

Zatrzymał się on na chwilę, parę kroków odsunął w tył ze stołkiem i bacznie teraz przyglądając się koledze, zawołał:

— Antek, co tobie?

— Jakto? co mnie?

— Czy nie dotknęło cię jakie nieszczęście? jesteś przygnębiony, zmięty, smutny, jakim nigdy nie byłeś, ty, jeden z najserdeczniejszych niegdyś chłopów, uosobiona szczerość i otwartość!

— Nie, nic mi nie jest — z niechęcią odparł pan Antoni!

— Ale to nie może być, ja ciebie pamiętam, tyś ze wszystkich starych towarzyszy najwięcej zapowiadał, najtwardszym byłeś. Dajno co przepić, to jakoś język rozwiązuje, lżej ci będzie, gdy się wygadasz.

Na wspomnienie »przepicia« pan Antoni się uśmiechnął i ku zdumieniu kolegi twarz jego przybrała teraz jasny wyraz.

— Prawda, widzisz, zapomniałem o tem przy tobie, co daje zadowolenie jedyne w życiu.

To mówiąc wstał, wyszedł do drugiego pokoju i niebawem do kancelarji wniósł sporą butelkę wódki, słoniny kawałek i chleb; z butelki nalał sobie jeden kieliszek, przybyłemu drugi, a potem jednym haustem połknął zawarty płyn swojej czarki.

Tyniecki na całą tę manipulację patrzał prawie zdumiony, tak wielce była charakterystyczną. Panu Antoniemu ręce drżały, gdy wódkę nalewał, a jeszcze więcej, gdy ją do ust podnosił. Słoniny i chleba nie tknął.

— Pijże! — zawołał niecierpliwie, nalewając sobie drugi kieliszek, — nie lubię czekać.

Tyniecki poszedł za przykładem kolegi wódkę wypił, ale się skrzywił i gdy mu pan Antoni chciał drugi nalać kieliszek zasłonił go ręką.

— Nie pijesz?

— Jakoś mi nie smakuje.

— Hm, piłbyś wino, cóż kiedy nie mam. Nie stać mnie na nie, ledwie ot na taką butelczynę marnej kartoflanki, ale wierz mi, jednaki skutek, wino tylko czasami idzie do nóg, a kartoflanka zawsze do głowy, dlatego ją tak bardzo proteguję. Skoro tam wszystkie rozumy pojadłeś, powinieneś wiedzieć, że ten bozki napój jest lekarstwem na wszelkie dolegliwości. Po pierwszym zaraz kieliszku, powiadam ci, świat zaczyna ci się inaczej przedstawiać, łajdaki idealnie poczciwymi, łotry — prawie świętymi, faryzeusze — prawdomownymi itd., bez końca. Drugi kieliszek już sprowadza ci taniec powszechny; trzeci — szczęśliwości niebieskie, a czwarty zapomnienie wszystkiego, nie — byt. Powiadają, że to choroba, że to alkoholizm, wszyscy djabli mię do tego, co to jest, dosyć że mi z tem dobrze!... Ucztę taką urządzam sobie zawsze, codziennie, do poduszki i śmieję się dopiero ze wszystkiego. Spróbój i ty, a przekonasz się, żem nic nie przesadził.

Tu pan Antoni podnieść chciał piąty kieliszek do ust, ale go za ręką chwycił Tyniecki.

— Co robisz? ja tego nie chcę! — zawołał.

— He, he, dajże do licha pokój ze swoją wolą, ograniczono moją we wszystkich kieliszkach, to jedno mi pozostało, że mi nikt nie broni, nie brońże ty, abym cię nie znienawidził.

— Kto cię w czem ograniczył, kto ci czego broni? Oszalałeś? (C. d. n.).

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

Krańcowem przeciwstawieniem śląskiego górala jest mój sąsiad z prawej strony. O jego narodowości mówią — od stroju wyraźniej — niezapominajkowe oczy, a zwłaszcza »słowackiej« barwy włosy, — włosy do stężałych promieni podobne, przy których złoto raziłoby żółtością, kłos dojrzałej pszenicy wyglądałby szaro, a włókienka lniane — blademi.

Twarz Słowaka modeluje się w świetle słonecznem z wielką plastyką, a ściągnięte brwi przy spuszczonych powiekach, żółtawy odcień na skroniach, zniżające się ku dołowi kąty warg — nadają jego rysom wyraz smutku i przygnębienia. Któż zgadnie, jaka niedola goni biedaka z lichej wioski słowackiej w obce strony? Harde serce chłopskie nie skore bywa do zwierzeń, a z twarzy zastygłej trudno wyczytać, czy bije ono trwożnym niepokojem, czy krwawi się bólem lub płacze nad utraconem szczęściem. To tylko pewna, że troska chyba całą zabrała mu duszę, jeżeli nie ma ani jednego spojrzenia dla obrazów, które migają w oknach wagonu, dla wdzięcznych śląskiej ziemi obrazów.

Dolina Olzy, czyli — jak za dawnych powiedziano by czasów — dolina Olszy, którą jedziemy, należy do najpiękniejszych na Śląsku. Krańców jej strzegą malowane Beskidy, a nad wstęgą rzeki, wśród łąk, gajów i łanów, rozsiadły się wioski, miasta, osady fabryczne. „Sowa" dobiega właśnie głośnego Trzyńca. Wzrok uderza tu o las potężnych kominów i nie sięga dalej. W płomienistej atmosferze trzynieckich walcowni, giserni, hamerni uwija się kilkutysięczny zastęp robotników i przetwarza rudę żelazną, a wraz z nią nerwy, mięśnie, pot i krew własnego ciała w kraty, łańcuchy, szyny kolejowe, walce, lewary, piece, za które to wyroby z górą pięć miljonów koron wpływa rok rocznie do kasy „arcyksiążęcej kamery".

Za Trzyńcem znika stopniowo drobna szachownica górskich gruntów. Szeroko ścielą się tu łany i bujnym dzwonią kłosem na chwałę tak zwanej „szlachty cieszyńskiej", na chwałę światłych i pracowitych rolników z pod Cieszyna.

Ale oto i sam Cieszyn zjawia się nagle, jak cudo, na tle gór.

Olza płynie tu żwawo, domy wyglądają schludnie, kościoły okazale, słońce zatapia miasto powodzią światła, — lecz oko, a za niem i serce wędrowca biegnie najpierw ku tej wieży, co, wznosząc się ze szczytu zielonego wzgórza, króluje nad miastem, bo

...... choć z wieży
W błękit nieba krzyż nie bieży,
Lecz chorągiew tam szeleszcze,
Przecież to jest wieża święta:
Stare czasy ci pamięta
I pamięta stare dzieje...*)

Tak śpiewa poeta o zimnych głazach wieży, A serca ludzkie, żywe, gorące, krwi pełne serca pamiętają-li? - Marzą-li o zapadłych czasach, kiedy Śląsk, legendowym szczerbcem ze sławną dzierżawą Chrobrego spojony, w jednej koronie chwały z nią chadzał, — kiedy za rycerskie i obywatelskie cnoty jej synów, ziemię śląską mianem Starej Polski darzono?...

Lud śląski odpowiada na te pytania słowami pieśni, której stłumić nie potrafiły pruskie bagnety:

A jeśli Ciebie ja zapomnę,
Ojczyzno moja, ziemio święta,
To niechaj pomrą bezpotomne
Synaczki moje, pacholęta,
I niechaj serce me bez wiary
Przygniecie brzemię i ciężary
Ogromne!

A jeśli Ciebie stłumię w łonie,
Ojczysta mowo, to ułomne
Me serce w bólu niech utonie,
I niechaj się kurczy, wiarołomne!
Niech ze szpon troska mię nie puści,
Niech język przyschnie do czeluści
Przy zgonie!

I Cieszyn i wieża Piastów rozwiały się, jak widma senne, w blaskach skwarnego południa. Zniknęli również z wagonu dawni towarzysze podróży: strojni Jabłonkowianie, krewki góral, smutny Słowak. Ich miejsce zajęły Wałaszki w jedwabnych szatkach na klepacz, czyli z tyłu wiązanych, tudzież Laszka z dolin w szatce zapastyrzonej, to znaczy: w pół węzła pod brodą zadzierzgniętej. Ani powierzchowność ani nawet ubiór tej ostatniej niczem tak dalece się nie wyróżniają. Z taką, dość długą spodnicą, granatowym kaftanikiem o rękawkach, zwężających się stopniowo w kierunku pięści, z takim fartuchem błękitnym, często i wszędzie spotkać się można. I chyba tylko fałdzisty czepek, obrzeżający czoło i skronie Laszki, mniej kosmopolityczne robi wrażenie.

Inna odzież, inne typy i krajobraz inny! Gór niema już ani śladu. Dalekie, nikłe, błękitne horyzonty otwierają się przed wzrokiem, zamiast rwących potoków, — tafle cichych stawów błyszczą w oddali.... Olza tylko, od której źródeł jedziemy, towarzyszy nam wiernie coraz głębszą, coraz błękitniejszą falą....

— Darkau! — kracze czerwonowłosy konduktor pod uchylonem oknem wagonu i przery-

*) Z poezji Jana Kubisza, skowronka śląskiego.

wa fałszywym zgrzytem wątek dumań i obserwacji.

Tu, w Darkowie, rozstajemy się z „sową“ i pod przewodem pana Franciszka Górniaka, znanego z zasług obywatelskich rolnika-przemysłowca ze wsi Sibicy, puszczamy się pieszo do Frysztatu, obiecując sobie zwiedzić po drodze darkowski zakład kąpielowy, tudzież zamek Raj, piastowską ongi posiadłość.

(C. d. n.). *M. Wysłouchowa.*

Błędy językowe.

8. Zbyt często piszemy; jaki, zamiast *który*, nie zdając sobie sprawy, że nie zawsze używać należy pierwszego zamiast drugiego. *Jaki* wtedy tylko powiedzieć można, jeżeli poprzednio rzekło się, lub pomyślało: taki; *który* zaś, jeżeli się rzekło, lub pomyślało: *ten.* Gdy więc napiszemy; »Osoby, *które* tam widziałem, to mam na, myśli: »*Te* osoby, które tam widziałem..«, kiedy zaś powiemy: »Osoby, *jakie*, tam widziałem», to mam w myśli: *Takie* osoby, *jakie* tam widziałem».

9. Nader często używamy *jak* zamiast *gdy, kiedy. Jak* go zobaczył, to się wielce ucieszył»; lepiej: »*Gdy. kiedy* go zobaczył.»

Na Syberji.

Od Obi do Jenisieju (Krasnojarsk) przestrzeń ta stanowi pozycję przejściową od warunków bytu zachodnio-syber. do wschodnio-syberyjskiego, to też zbytecznie narzekać na nią nie można, a w Krasnojarsku kulturalny Europejczyk może urządzić się nawet wygodnie, to jednak nie usuwa wypadków, kiedy w mieście zabraknie świec stearynowych, nafty, cukru, nici białych itp.; co prawda zdarzało się to częściej wtedy, kiedy kolej nie dosięgała Krasnojarska, a rzeki w czasie długotrwałych wylewów lub zamarzań uniemożliwiały wszelką komunikację.

Dziś już i te małe niewygody usunięte, gdyż do Krasnojarska otwarty jest prawidłowy ruch pociągów z przyjęciem pasażerów i towarów.

W ostatnich czasach Krasnojarsk bywa zasilany w produkta angielskie, za pośrednictwem statków angielskich, wprowadzanych z północy do Jeniseju przez załogę kapitana Wittginsa. Statki te zwykle dochodzą do miasta Jenisejska, leżącego przy Jeniseju na północ od Krasnojarska. Ztamtąd mniejsze statki przywożą już towar do Krasnojarska (nafta, wyroby metalowe, towary kolonialne, konserwy itp.).

W Krasnojarsku kolej środkowo-syberyjska przecina rzekę Jenisej, przez którą w chwili obecnej buduje się największy z dotąd zbudowanych mostów na drodze syberyjskiej. Most ten będzie miał długości 400 sążni, a co do wielkości przęseł zajmie drugie miejsce wśród mostów całego starego świata; długość przęseł jenisejskiego mostu wynosi 67,7 sążni (tylko most na rzece Lek, w Kwilenburgu, posiada dłuższe przęsła, wynoszące 70,3 sążni — zajmuje więc on pierwsze miejsce)

Budowa tego mostu jest jeszcze w początku; obecnie prowadzone są roboty nad opuszczaniem kiesonów, mających służyć za podstawę dla filarów mostowych; budowa całego mostu ma być ukończona w r. 1898.

W miarę posuwania się za Krasnojarsk na wschód, coraz to więcej daje się uczuwać brak wielu niezbędnych przedmiotów i produktów, bez których kulturalny Europejczyk obyć się nie może; jednocześnie ceny na wszystko (nawet na produkta miejscowe) wzrastają z bajeczną szybkością, wcale nieproporcjonalnie do odległości z Krasnojarska. Ceny, jak również trudność warunków życiowych, dosięgają maximum w okolicach, leżących mniej więcej w połowie drogi między Krasnojarskiem a Irkuckiem (na przestrzeni około 1,000 wiorst). Im bliżej ku Irkuckowi, miastu, które bez przesady nazwać można stolicą wschodniej Syberji, tem podróż staje się wygodniejszą.

To wpływ Irkucka, o którym powiemy słów kilka.

Znaczenie swoje zawdzięcza to miasto wielu przyczynom, z główniejszych są następujące: W Irkuckuześrodkowują się wszelkie tranzakcje kopalniane, a w szczególności kopalni złota wschodniej Syberji. Pozycja jego na trakcie, jako krańcowego punktu, gdzie się kończy nawpół chiński, nawpół rosyjski transport herbaty, odbywający się między Kiachtą, Majmaczynem a Irkuckiem (dalej herbata transportowana jest końmi na zwykłych wozach lub saniach); wreszcie sąsiedztwo okręgu Bałagańskiego, który jest spichlerzem dla całej okolicy — oto ważne czynniki, które spowodowały, że warunki bytu okolic Irkucka stanowią wyjątek z ogólnego prawa. »Im dalej na wschód, tem gorzej« (to samo spotykamy, zbliżając się ku Władywostokowi).

Najlepiej mi są znane warunki życia między Krasnojarskiem a Irkuckiem, najwięcej więc mogę dać informacji o tym kraju.

Między wymienionemi punktami, na odległości 1,000 wiorst, w liczbie niewielkiej ilości wiosek przytraktowych, leżą dwa okręgowe mia-

steczka: Kańsk i Niżnieudińsk, w których ześrodkowuje się cała administracyjna machina tego wielkiego obszaru. Do Kańska w czasie obecnym doprowadzona budowa kolei żel. i w zależności potrzeb miejscowych cyrkulują pociągi służbowe, tu więc zatraconą jest indywidualność wschodnio-syberyjskiej mieściny, nie przedstawia ona obecnie nic ciekawego, przeto przenieśmy się do jego jedynego sąsiada, odległego o 300 wiorst Niżnieudińska, przypatrzmy się warunkom, w jakich muszą żyć pracownicy budowanej kolei. Warunki te są typowe dla wschodniej Syberji i mniej więcej jednakie dla całego tutejszego kraju, dokąd nie dochodzą promienie chociażby od nawpół kulturalnych centrów.

Niżnieudińsk, jest to nędzna mieścina, składająca się z 500 czy 600 domostw, wśród których się mieszczą instytucje administracyjno-rządowe. Tu się mieści zarząd działu (około 100 wiorst) budowanej kolei z dość licznym etapem pracowników.

Miasto, z przyległą mu słobódką, po obu brzegach górskiej rzeki Udy (dopływ dopływu Jeniseja), nie posiada ani samodzielnego handlu, ani własnej produkcji; lud miejscowy niema ściśle wyspecjalizowanego sposobu zatrudnienia, lecz stosownie do okoliczności chwyta się wszelkich środków zarobkowych, byleby mniej pracować, a więcej zdobyć. — W wielu razach procedury te bywają wprost nieuczciwe.

Każdy tutejszy mieszkaniec wsi lub miasta ma tak zwaną »zaimkę«, tj. szmat ziemi, który sobie obrał, przywłaszczył, wybudował na nim chatkę i uprawia rolę, jeśli to uważa w danej chwili za pożyteczne. Mieszka on w tej zaimce tylko w ciągu zasiewu i zbioru, później zaś przenosi się do wsi lub miasta, gdzie ma drugą chatę i tam gromadzi zapasy żywności dla siebie lub na sprzedaż, która uskutecznia się przeważnie w czasach, kiedy na trakcie panuje największy ruch transportowy (idą tak zw. »obozy«, tj. olbrzymie szeregi fur, naładowanych herbatą lub europejskiemi towarami).

Bywały przykłady, że po okolicznych wsiach pobierano od przyjezdnych po 1 rub. za małą wiązeczkę siana i po 3 rub. za pud owsa! Ulubionem zatrudnieniem Sybiraka jest ten właśnie transport towarów. Z nadejściem zimy, każdy niemal posiadacz kilku koni przyłącza się do grupy innych. Grupa taka pod dowództwem jednego kierownika tworzy »obóz«, który przewozi z Tomska do Irkucka różne towary, a z powrotem zabiera herbatę. Czasem właścicielami takich obozów są kupcy, którzy posiadają po kilkaset koni.

(Dok. nast.).

Juljan Kossowski
inżynier - technolog.

Przegląd pism.

Die Geselschaft. Jahrgang 1897. Erstes Quartal. Leipzig.

Wydawany w Lipsku organ »młodych Niemiec« pt. »Die Geselschaft«, nie odnoszący się bynajmniej wrogo do narodowości naszej, lecz przeciwnie notujący dość skwapliwie objawy rozwoju naszej literatury, zamieszcza w marcowym zeszycie b. r. sylwetkę Henryka Sienkiewicza, pióra Dr. S. R. Landau'a.

W szkicu tym przechodzi autor kolejno prawie wszystkie dzieła Sienkiewicza, poświęcając każdemu po kilka niekiedy trafnych, a bardzo życzliwych uwag.

Nawet nowela »Na marne« zyskuje zupełne uznanie krytyka. Przy tej sposobności potrąca autor o warszawski i krakowski »pozytywizm«. Przy ocenie »Szkiców węglem« zachwyca się Landau demokratyzmem Sienkiewicza, przyczem Rzepową porównuje z Imogeną Szekspira — przy omawianiu zaś »Bez dogmatu« zestawia talent Sienkiewicza z talentem głośnego Gabriela d'Annunzio. Różnicę między niemi określa słowy: »D' Annunzio will die Kunst zum Leben, Sienkiewicz das Leben zur Kunst bringen«. Stwierdziwszy w końcu, że Sienkiewicz w »Quo vadis« jest przedewszystkiem filozofem (?) kończy przesadnym, acz dla Sienkiewicza bardzo pochlebnym zwrotem: »Vie für die polnische Poesie Mickiewicz, so bedeutet für den polnischen Roman Sienkiewicz den Glanzpunkt«. — A Prus, a Orzeszkowa?..

W tymże samym numerze zamieszczono przekład nowelki Sienkiewicza pt. »Żorawie« (die Kraniche).

Zanotować także wypada, że w styczniowym numerze tego pisma pomieścił Stanisław Przybyszewski, trzyaktowy dramat pt »Das grosse Glück« — zanotować zaś wypada tembardziej, że głośny już dzisiaj za granicą i bezsprzecznie utalentowany »polski dekadent«, chociaż pisze po niemiecku, nie wypiera się swej narodowości, lecz przeciwnie w jednym ze swych listów wyraźnie zaznacza«. Jestem Polakiem krwią i duszą«.

Dramat ów, jak wszystkie utwory Przybyszewskiego, znamionuje głęboka analiza psychologiczna.

Zdzisław.

Wiadomości bibljograficzne.

Eliza Orzeszkowa świeżo ukończyła przekład „Historji literatury angielskiej" w 5 tomach Hipolita Taine'a.

Dr. Antoni J. Wkrótce zacznie wychodzić zbiorowe wydanie prac historycznych.

Adam Asnyk. Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydaje nową edycję trzytomową poezyj.

Gamaston, autor „Lamparciego życia", ukończył nową powieść, p. t. ‚Siwe Lamparty'.

Marja Konopnicka wydała obecnie w Krakowie nowy tom poezji, pt. „Linje i Dźwięki"

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie